ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX | Warszawa, dnia 30 Lipca 1927 roku | Nr. 31

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

29)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— Czy nie lękacie się — zapytał — że łaski, jakiemi was otaczają i które wzrastają z dniem każdym, nie rozgoryczą waszych wrogów?

Rasputin wzruszył ramionami:

— Psy czepiają się zawsze — rzekł — łydek ludzi szczęśliwych.

— A jednak Grigori Effimicz, byłoby może lepiej, gdybyście opuścili stolicę na jakiś czas.

— Nie, mój mały! Jest mi tu zbyt dobrze! Czego obawiasz się dla mnie?

Jussupow podniósł na Rasputina drżące, świetlane oczy:

— Mogą was zabić, Grigori Effimicz — szepnął.

Twarz Rasputina postarzała się nagle. Lęk przed zamachem dręczył go często. Lecz w tym dniu poczucie władzy było zbyt silne. Opuścił przed chwilą cesarzową, a obecność księcia dziwnie go uspokajała.

— Nie bój się, Feliksie, jestem dobrze strzeżony. — rzekł.

Następnie, sądząc, że należy wynagrodzić niepokój, który mógł płynąć z serca przyjaznego, zawołał:

— Mój mały! Jeżeli masz ochotę, to zrobię cię ministrem.

Przerażenie księcia nie było udanem. Znał zbyt dobrze władzę nadzwyczajnego chłopa, ażeby nie zlęknąć się tej propozycji. Zachcianki Rasputina przekraczały granice rozsądku i możliwości. Gdyby sobie wbił w głowę, że powierzy najważniejsze stanowisko w cesarstwie uczniowi ze szkoły oficerskiej, który nie miał pojęcia o polityce, to carowa usłuchałaby go, a za nią i car. Możliwość była szalona, lecz zupełnie pewna.

Jussupow wyciągnął ręce do Rasputina i rzekł błagalnym, znużonym tonem:

— Grigori Effimicz, wszystko, co się wam podoba, byle nie to!.

Rasputina nie zdziwiła ta odmowa. Podczas gdy wysocy urzędnicy przysyłali do niego swoje przyjaciółki i żony na rozpustę, ażeby uzyskać awans lub odznaczenie, bezinteresowność młodego, słabego, dumnego człowieka wzbudzała w nim serdeczną wdzięczność.

— Pomówimy o tem, gdy będziesz wyleczony— rzekł. — Jak się czujesz?

— Trochę lepiej, dzięki waszej pielęgnacji, ale mam zawsze ciężar na sercu i duszę się czasem.

— Nie niepokój się, Feliksie, usunę te wszystkie cierpienia. Ale czemu nie idziesz do Badmajewa?

Jussupow znał ze słyszenia tybetańskiego doktora. Co za wpływy przypisywano temu mongołowi z przerzedzoną bródką, w binoklach oprawnych w szyldkret, ubranego zarówno zimą, jak też latem, w biały długi kitel? Mówiono, że on za pośrednictwem Wyrubowej wywołuje krwotoki carewicza i że Rasputin wstrzymując je wzmacnia swój wpływ. Mówiono, że zna niezwykłe trucizny, że jest wtajemniczony w najstarsze nauki Azji. Jussupow starał się często wydrzeć Rasputinowi wyjaśnienia co do tej osobistości, ale za każdym razem starzec wykręcał się. Niemniej, często wspominał Badmajewa i to zawsze z głębokim szacunkiem.

— Idź do niego, mój mały — powtórzył Rasputin. — Jest to człowiek użyteczny, potrzebny. Nauczył mnie wielu rzeczy. Wszystkie lekarstwa doktorów nie zdadzą się na nic. On leczy roślinami, trawkami, ziółkami. To tylko jest prawdziwe. Widzisz, mój Feliksie: same rosną. Człowiek jest bez znaczenia. Pochodzą od Boga i mają najwyższą siłę. Badmajew ma zioła, które dają pragnienie i w dniu, w którym je zażyjesz, jesteś silny w miłości, może przyjść dziesięć, sto kobiet. Daje ci inne zioła i jesteś po nich wesoły. I jest jeszcze inna roślina, po zażyciu której stajesz się człowiekiem Boga. Wtedy nie może cię dotknąć nic ziemskiego. Cokolwiek cię spotka, jesteś obojętny. Jeżeli w twoich oczach umrze matka, syn, gdy będą się starać uśmiercić ciebie—nie ruszysz się nawet z miejsca. Jesteś spokojny i dobry. Mama daje do picia te zioła papie, kiedy jej każę. On się nie domyśla, lecz czasem ma duszę tak wzburzoną, że trzeba go uspokoić.

Jussupow zapanował całą siłą woli nad powstrzymaniem dreszczu grozy. Zrozumiał utajoną przyczynę bierności cara. Wiadomo, że cesarz posiadał niezdecydowany charakter, lecz przynajmniej starał się kierować losami swojego państwa. Obecnie, nie liczył się wcale. Wszystko było w rękach cesarzowej. Nieludzko zimna krew, z jaką przyjmował najgorsze klęski, chorobliwy spokój, który przerażał wszystkich, był najwidoczniej rezultatem leków Badmajewa.

Zaiste, Zły uzbroił swojego wysłańca w czarcie moce.

Niespodziewane wejście Kati przerwało te rozmyślania.

— Ojcze, — rzekła — inżynier przyszedł wraz z tamtymi.

— Niech zaczekają w jadalni. Przyjdę zaraz do nich.

Wyraz powagi, niemal lęku, rozlał się po rysach Rasputina.

— Wiesz — powiedział — są to moi przyjaciele ze Szwecji.

— Zieloni?

Już kilkakrotnie opowiadał Rasputin Jussupowowi o ludziach, których nazywał Zielonymi. Mówił o nich niewyraźnie, tajemniczo i z dziwnym szacunkiem.

— Mogą wszystko uczynić — zapewniał — mogą wszystko ci moi przyjaciele ze Sztokholmu. I dla pieniędzy, i dla życia, i dla śmierci. Potrafią służyć dobrą radą. Mówią, że mama i ja zasługujemy na najlepsze rzeczy na świecie. Bardzo mnie kochają.

Następnie, biorąc Jussupowa za rękę, starzec zaprowadził go na tapczan.

— Chodź, będę cię leczył — rzekł. — Następnie pójdę do nich.

Była to dla księcia najstraszniejsza ze wszystkich chwil. Ażeby widywać często Rasputina i uzyskać jego zaufanie, prosił go, ażeby odjął mu cierpienie, z którego nie mógł wyleczyć go żaden doktór. Udał się podstęp, lecz czynił go bezbronnym wobec spojrzenia Rasputina, który chciał go uleczyć hypnozą.

Jussupow wyciągnął się na tapczanie. W tej decydującej walce nie naprężał muskułów, lecz myśli. Rasputin dotykał go wolno, najpierw czoła, potem skroni, wreszcie karku. Książę podziwiał niejednokrotnie znajomość rzeczy, jaką posiadał ten chłop, zupełny nieuk. Kto go nauczył? W jakim celu?

Jussupow starał się myśleć o tem, bo pragnął uciec przed niewidzialną siecią, którą ręce twarde, lecz zbrojne w zwierzęcy magnetyzm tkały dokoła niego. Powoli zagarniała go ciążąca atmosfera, w której rozpuszczało się jego ciało. Lecz wola uciekała niby zbyt jasna woda.

Rasputin pochylił się nad księciem. Wszechświatześrodkował się w tych okrutnych oczach, w tych pijawkach, przyczajonych pod zapadłem sklepieniem, bez dna. Sączył się z nich fluid tak gęsty i tak surowy, że wydawał się Jussupowowi namacalnym. Jak oprzeć się tej demonicznej woli? Wchodziła przez wszystkie pory, zatapiała całą energję. Jussupow miał wrażenie, że pogrąża się w otchłań, czuł, że się chwieje. Jeszcze chwila, a zginie. I wszystko będzie poświęcone. Stanie się łupem Przeklętego. Szatan zacznie się radować zdobyciem nowej duszy.

Pomimo wszelkich wysiłków, nierzeczywiste igły przeszywały skórę księcia. Niech idą głębiej, a stanie się miękką gliną w rękach czarownika. I trzeba było leżeć bez ruchu, bez oznak buntu, gdyż tylko zewnętrzna uległość wzbudzała w Rasputinie zaufanie i tem samem czyniła go mniej szkodliwym.

Wtedy, sięgając po zbawienną broń, którą miał zwalczyć złego ducha, Jussupow zaczął się modlić.

Bez znaku krzyża, bez drgnienia warg, bez poruszenia poddanem ciałem, ale całą mistyczną żarliwością, całą duszą poświęconą nadprzyrodzonemu życiu i gorliwym rozmyślaniom.

I oto zwolna między nietkniętą jeszcze piersią i pokonaną skórą jął się rozciągać pancerz ochronny.

Modlił się.

Z chwili na chwilę zbroja stawała się trwalsza i bardziej hartowna.

Modlił się.

Szatańskie igły łamały swe ostrza, nie mogąc dotknąć serca. Dzięki woli Boga, Jussupow wychodził obronny z tej próby. I Bóg dyktował mu konieczny podstęp.

Książę zamknął oczy. Oddychał, wargi poruszały się miarowo. Rasputin, pewny swojej mocy, otarł krople potu, które drżały na jego zmarszczkach i przypatrywał się Jussupowowi. Ostra twarz zdawała się bledszą. Delikatna głowa wydrążała w poduszce czyste kształty. Poważnie zarysowane usta składały się w uśmiech młodzieńczy najspokojniejszy i najbardziej tajemniczy.

Bezgraniczna pycha przepełniła Rasputina. A więc i ten z najwspanialszego rodu, ten z rysami anioła, był mu uległy i leżał przed nim, bezwolny, skuty. Ażeby potwierdzić swoją władzę i swoje zwycięstwo, Rasputin pochylił się jeszcze niżej. Poprzez rzęsy, które kryły najzupełniej spojrzenie księcia, Jussupow dostrzegł twarz kosmatego chama. Każda fałda była wyrwą.

To było Zwierzę. Lecz Jussupow już się go nie lękał.

Przekonany, że pozostawił na tapczanie jedynie cielesną powłokę, której życie odjął, Rasputin opuścił pokój, nie domykając nawet za sobą drzwi, prowadzących do jadalni.

W jadalni znajdowała się grupa mężczyzn, rozmawiających ze sobą po cichu. Ujrzawszy Rasputina, ożywili się. Sztucznie wywołana wesołość ukazała się na ich twarzach. Starzec pozdrowił ich dobrotliwie.

— Grigori — rzekł inżynier — przynieśliśmy ci znakomite wino. Nadeszło z Hiszpanji. Widzisz, że mamy wszędzie przyjaciół i że myślą o tobie.

Ujrzawszy w sąsiednim pokoju człowieka rozpostartego na tapczanie, przerwał.

— Kto to? — zapytał.

— Chory — odparł Rasputin. Nie obawiaj się. Śpi.

Inżynier podjął na nowo:

— Grigori, napijemy się za twoje zdrowie. Jaka szkoda, że Manuiłow nie jest razem z nami! Proces wyznaczono na piętnastego.

Powieki Rasputina zadrżały. Piętnastego, w wilję dnia, w którym miał spotkać u Jussupowa osobę, rozpalającą w nim najgorętsze pożądanie.

Bacznemu spojrzeniu inżyniera nie uszło to drżenie.

— Masz jakieś zajęcie w tym dniu? — zapytał.

— Ależ nie, Wikenti, myślałem o sprawie.

— Czy wiesz, że będą mówić o tobie, o nas wszystkich? To bardzo przykre.

Starzec uśmiechnął się.

— Powracam właśnie od mamy, — rzekł. — Kazałem jej napisać. Wszystko będzie zrobione dla Manuiłowa.

— Wolałbym jednak zamknąć drzwi — powiedział nagle inżynier.

Jussupow otworzył oczy. Czuł się rześki. Był obdarzony wielką intuicją. Ci ludzie nie mogli być Rosjanami. W ich wyrazie i sposobie bycia było zbyt wiele karności. Jussupow zauważył już, że zbierali się tutaj za każdym powrotem Rasputina z Carskiego Sioła. Podczas gdy chłop powtarzał z pychą swoje rozmowy z cesarzową, obcy goście robili w sekrecie notatki. Byli to napewno szpiedzy.

Wszystko jedno, czy Rasputin wiedział o tem, czy też był zabawką w ich rękach!

Jego nadprzyrodzona władza dawała nieprzyjaciołom straszną przewagę. Świadczyły o tem okropne słowa, które wymawiane głośniej w sąsiednim pokoju przebijały mury. Powtarzano je jak lekcję.

(D. c. n.).

3)

DWOREK

NOWELA

— Och! Bogu dzięki! Jakaż ja głupia! — pomyślała, drżąc ciągle, ale muskuły jej odprężały się i serce stopniowo wracało do normalnego bicia, bo nagła myśl przyniosła jej ulgę. — To ta przeklęta sowa, znowu.

Poszła na górę, ale widok otwartych drzwi paradnej sypialni przejął ją znowu dreszczem.

— Jestem prawie pewna — pomyślała — że zamknęłam te drzwi. Ale widocznie nie zamknęłam. Poczekaj, obrzydliwe ptaszysko, już ja cię przepędzę!

I osłaniając świecę ręką, stanęła w otwartych drzwiach.

Na łóżku leżał jakiś mężczyzna. Ubrany w jasno niebieski garnitur, wydawał się olbrzymim, fantastycznym, istną nocną zmorą. Leżał twarzą do poduszki, obejmując i pieszczotliwie głaszcząc łóżko, jakgdyby żywą istotę i wydając urywane okrzyki obłędnej radości. To był Księżycowy Dick, idjota. Niebieska odzież przytułku nie zmieniła go. Angela byłaby go poznała wśród miljona mężczyzn, choćby każdy był ubrany odmiennie.

Przez tę krótką chwilę śmiertelnego milczenia, zanim on spostrzegł jej obecność, nieszczęsna dziewczyna stała jak ktoś nieżywy, dla którego dawny bieg czasu przestał istnieć i kto myśli pod nowym zupełnie kątem wieczności. Teraźniejszość i przeszłość zlały się dla niej w jedno. Była małą dziewczynką idącą do szkoły z płaczem i żegnającą rodziców; szła na stację z Jackiem; ze śmiechem rozpowiadała znajomym o dworku: „Tak, doprawdy! Najbliższy dach gdzieś o pół mili." Fizycznie nie czuła w sobie wcale życia. Była bez żadnych cielesnych wrażeń, o ile gdzieś na dnie jej ja tkwiąca bezgraniczna trwoga nie podciągnie się pod nazwę wrażenia, bo, niezależnie od tej nienaturalnej szybkości, z jaką myśl jej mknęła po morzu minionych wydarzeń, miała wciąż świadomość niewymownej, logicznej zgrozy swego obecnego położenia.

Była samą, prawie nie odzianą, bezbronną. Żadna pomoc znikąd jej przyjść nie mogła. Sama się z nim zamknęła!

W chwilę potem fizyczne życie powróciło jej. On obejrzał się, zobaczył ją i wyrzekł: „Oo - oo!", tym ekstatycznym tonem, z jakim przyjmował udzielane mu datki. Angela upuściła świecę, a on zerwał się z łóżka i poskoczył ku niej, wyciągając ramiona.

Schwycił ją u stóp schodów i ohydna walka rozpoczęła się pomiędzy nimi. On zaczął ją całować w kark, w szyję, mlaskając ustami i mamrocząc; a ona krzyczała, krzyczała, krzyczała, wzywając tej pomocy, której nikt jej dać nie mógł. Idjota wciągnął ją zwolna do kuchni, obejmując ją jednem ramieniem i głaszcząc drugą, wolną ręką, a ona opierała się rozpaczliwie, nie przestając krzyczeć.

— Oo - oo!.... Zgaś światło — zamruczał.

Spokojny, cichy pokój ze swemi kolorowemi firankami, czystą podłogą i lampą płonącą jasno na stole, zawirował przed oczyma Angeli, wytwarzając dziwny chaos w jej głowie, podczas gdy on powtarzał jękliwie:

— Zgaś światło! Och! zgaś światło! — poczem raz jeszcze z groźnym jakimś oddźwiękiem zawołał:

— Dziewko! Zgaś światło!

Ciągnął ją ku stołowi, na którym paliła się lampa. A jej w zmęczonym trwogą umyśle wydało się, że lampa była jej ostatnią nadzieją. Więc wytężyła wszystkie siły, by się bronić. Wyczuwała jego nienawiść do światła i bez żadnej określonej myśli, tylko wystraszoną intuicją zdawała się odgadywać przyczynę. Dlaczego? Był to rodzaj instynktu nawpół zwierzęcego, wpół ludzkiego, poszukującego ciemności dla spełniania pewnych życiowych aktów.

Nagle idjota wyciągnął wolną rękę i uderzył otwartą dłonią w błyszczący klosz, zrzucając lampę ze stołu. Był to ruch tak przerażający w swej gwałtowności i brutalstwie, w swem obłędnem lekceważeniu niebezpieczeństwa lub własnego bólu, że gdy pochwycił znów Angelę i krew polała się na nią z jego zranionej ręki, trwoga jej dosięgła szczytu i sparaliżowała jej głos. Lampa spadłszy wybuchnęła i wyrzucała z siebie jakby mgłę gorącego oleju, gorącej, cuchnącej kurzawy wraz z kawałkami szkła, spadającej na nich oboje jakby z sufitu. Mosiężny postument lampy potoczył się po deskach podłogi i oparł się aż o ścianę tylnego okna z płonącym wciąż knotem, tak, że nie zrobiło się ciemno, ale przeciwnie, w chwilę potem jeszcze widniej.

— Światło!.... O! Światło! — wykrzyknął Księżycowy Dick z wściekłością. Rzucił Angelę na ziemię, sam wraz z nią padając.

I nagle światło zamieniło się w istną fontannę płomieni. Firanka u okna zapaliła się i języki ognia rozbiegły się po podłodze to tu, to tam, jak gdyby były żywe. Idjota, wrzasnąwszy, puścił prawie martwą z trwogi dziewczynę i sam zaczął biegać po kuchni, skacząc jak opętany i wyjąc:

— Światło!... Światło... Ogień!...

Ogień ocalił Angelę.

Idjota puścił ją i nie wrócił już więcej do niej, podczas, gdy na wpół oszołomiona, wpół nieżywa zaczęła czołgać się po podłodze ku drzwiom. On więcej już o niej nie myślał. Obicie na ścianach płonęło, a Księżycowy Dick miotał się, jak w konwulsjach. Paniczna, pierwotna trwoga opanowała go; był jak zwierzę w płonącym lesie; woń palącego się drzewa, trzask, syk i strzelanie płomieni, wszystko to podniecało jego trwogę. Trwoga, pierwsza i najsilniejsza z namietności, stłumiła wszystkie inne. Myślał tylko o jednem: o ucieczce. Był jak ścigane, dzikie zwierzę.

Angela zobaczyła, jak skoczył na parapet okna, wywalił je i wpadł w ciemności nocy. Skoro tylko powietrze weszło do wnętrza przez strzaskane okno, wszystko stanęło w płomieniach.

* * *

Dozorcy przytułku, poszukujący zbiegłego pacjenta, zobaczyli pożar i dali znać do wsi, ale zanim pomoc nadbiegła z ręczną sikawką, dworek był już tylko dymiącą kupą zgliszcz. Angelę znaleziono opodal, pokrwawioną, nieprzytomną, ale jak się później przekonano, oprócz lekkich zadraśnięć na ramionach nie odniosła żadnej, poważniejszej rany.

Idjotę schwytano daleko od dworku i nikt nie odgadł, że to on był sprawcą pożaru. Ślady spalenizny na odzieży zatarło błoto kałuży, w jakich się musiał tarzać. Przecięta ręka nic też nikogo nie objaśniła.

Jedyną osobą, która mogła opowiedzieć, co się rzeczywiście stało, była Angela, ale z jakichś niepojętych powodów uczynić tego nie była w stanie. Próbowała mówić, pragnęła mówić; ohydna tajemnica tych nocnych odwiedzin dławiła ją poprostu i napróżno starała się zrzucić z siebie ten ciężar.

— Lampa spadła — bełkotała. — Tak, lampa zleciała — i niezdolna wykrztusić nic więcej, zaczynała drżeć.

Przypuszczano więc, że panna Gibson sama przypadkowo wznieciła pożar i gdyśmy się dowiedzieli, że rozchorowała się z przebytych wrażeń, uważaliśmy to za wielką niedorzeczność z jej strony. Ale nikt jej z tego powodu nie czynił żadnych wyrzutów i nie powiedział jednego przykrego słowa. Dworek był dobrze ubezpieczony i pani Gibson zniosła stratę bardzo filozoficznie; zaś pan Gibson oświadczył, że zawsze się czegoś podobnego spodziewał, „wiedząc, że niech by się zatlił, to odrazu cała buda pójdzie z dymem". Dlaczegóż więc Angela tak się tem przejęła, że zachowywała się, jak niemądre dziecko, tęskniące za spaloną, ulubioną zabawką.

Straciła całkowicie swą świeżą, różową cerę i widywano ją bladą, wyczerpaną, z trudem wlokącą za sobą nogi po głównej ulicy Tudor Green. Wreszcie doktór Mac Grigor zaniepokoił się o jej zdrowie i w listopadzie rodzice zawieźli ją do Bournemouth. W grudniu wróciła i poszła zamąż bez żadnego hucznego wesela za przyjaciela brata, Jacka Harlanda.

I teraz dopiero zaczęto plotkować na potęgę. Młode małżeństwo wcale ze sobą nie było szczęśliwe i rodzina Gibsonów srodze się tem martwiła. Może kochana pani Gibson nie umiała być dość wstrzemięźliwą w swojej zgryzocie, albo właścicielka domu, w którym zamieszkali Harlandowie, niepotrzebnie paplała na wszystkie strony, ale zdawało się, że całe Tudor Green wie doskonale, jak rzeczy stoją. Angela podobno mówiła, że kocha swego męża tylko jak przyjaciela, lub brata, ale nie inaczej. Zaczynała drżeć, gdy się jej dotknął, cofała się ze wstrętem, gdy ją chciał pocałować, a raz gdy ją wziął w objęcia, narobiła takiego krzyku, że się cały dom zleciał.

Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że wróciła do rodziców, że leży chora i że doktór Mac Grigor, który ją znał od dziecka, czuwa nad nią z największą troskliwością.

Nasz zacny, szorstki doktór Mac Grigor potrafi być bardzo niepowściągliwym w swoich sądach i ja sam słyszałem go często wieszającego psy na psychoanalizie tych, którzy ją stosują w medycynie. Ale przypominam sobie, jak mówił, że jedyną sensowną rzeczą w tej kupie bredni jest teorja *catharsis*, tego duchowego przeczyszczenia, które może być uskutecznione przez wydobywanie z najtajniejszych głębi jaźni bolesnych i tłumionych faktów i przeżyć i ukazywanie ich w pełnem świetle zdrowego rozsądku. To jednakże, jak zawsze mawiał, jest stare jak świat, albo jeszcze starsze. Ale stara czy nowa, zastosował tę metodę do biednej dławiącej się tajemnicą Angeli. Siedząc przy jej łóżku dzień po dniu, wydobył z niej po trochu całą historję. Skoro tylko mu powiedziała, zrobiło jej się lepiej. Zrobiło jej się jeszcze lepiej, gdy ją skłonił, by się zwierzyła matce. A już zupełnie dobrze, gdy powtórzyła wszystko mężowi.

Wreszcie doktór Mac Grigor zawiózł tych dwoje swoim samochodem na miejsce, gdzie niegdyś stał dworek.

Był to jasny, cichy zimowy dzień, chłodny, ale wesoły i błyszczący, gdy słońce świeciło. Jesienne chwasty pokryły ruiny dworku, kryjąc jego zgliszcza i brzydkie czarne popioły. A stali na tem miejscu, które było niegdyś dworkiem i pogardliwie trącali je nogą. Usiedli nawet na niem. To jest uczyniła to Angela; otulona ciepłem futerkiem, usiadła na ceglanej podstawie komina, podczas gdy jedli sandwiche i wypróżniali flaszki. Twarzyczka jej była po dawnemu biała i różowa, a oczy błyszczały promiennie i gdy tak siedziała, czuła, że ostatnie ślady dręczącej ją tak długo trwogi nikną w jej duszy na zawsze. A potem, gdy doktór zawracał samochodem, ujęła rękę Jacka i trzymając ją silnie pod futerkiem, szepnęła:

— Jacku, najdroższy. Taka jestem szczęśliwa teraz. Och! taka jestem szczęśliwa!

Tak więc wszystko skończyło się dobrze. Wkrótce zobaczyliśmy młodego Jacka Harlanda uśmiechniętego i pełnego dawnej junakerji; stary Gibson nie siedział już ponury i milczący w wagonie, gdy jechał zrana do City; a pani Gibson chodziła żwawo po mieście, rozpromieniona i uśmiechała się znacząco, jak gdyby w wyobraźni widziała się już babką.

K O N I E C

Z ruchu wydawniczego

„LUDZIE BEZ TWARZY"

Dzieją się różne niezwykłe paradoksy wśród naszych młodych poetów. Wyróżnia się utwory i pisarzy, bo są reklamowani, a zapomina się o prawdziwych zdolnościach. P. Józef Aleksander Gałuszka jest bezspornie utalentowanym poetą. Dał już pięć zbiorów swoich utworów. Dwa tomy były nawet wyróżnione przez b. Min. kultury i sztuki. A jednak naogół głucho o nim wśród dyskusji literackich. Przypomina się nowym zbiorem p. t. „Ludzie bez twarzy". I ten tom zawiera utwory o niepośledniej krasie, choć spotkać można również rzeczy niedociągnięte lub przygodne. Piękny jest „Hymn o Miłości". Mówi w nim poeta:

„Ciszo idąca w słońcu nad snem zbóż kwitnących!
Upojny lip zapachu: szmerze złotych włosów — —
O usta miłowane, usta miłujące!
Uśmiechu, pocałunkiem przykryty niebiosów!"

Ciekawe jest, iż w zbiorze tym „Ludzie bez twarzy" prawie nie spotyka się nuty erotycznej. Nowy tom wierszy J. A. Gałuszki miłośnikom wiązanego słowa dostarczy wiele przyjemnych wzruszeń.

PRAWDA O ROSJI SOWIECKIEJ

P. Edmund Jezierski napisał popularną a pouczającą broszurę p. t. „Prawda o Rosji Sowieckiej". Materjały zaczerpnął z prasy urzędowej komunistycznej. Cyfry, opinje, opisy stanu wsi, miast mówią znacznie więcej, niż doktryna bolszewicka. Życie w Rosji zgnębione jest i sponiewierane przez upiorne rządy. Wszelkie prawa ludzkie ustały. Jest ciekawe, iż wrzenie przeciw komunistom ani na chwilę nie gaśnie. Rząd jest więc w stałej wojnie z własnem społeczeństwem. Tak wygląda „harmonja", „raj na ziemi" stworzony przez rewolucję. Mimo mijających lat dziesieciu rany zadane przez wojnę europejską i wojnę przeciwpolską nie zostały zaleczone. Mamy w Polsce chwalców ustroju sowieckiego: wystarczy wziąć pod uwagę cyfry podane przez p. Jezierskiego, by zrozumieć tendencyjność, jeśli już nie złą wolę różnych naocznych świadków, którzy opowiadają swoje wrażenia z pobytu w Rosji.